

Internet niszczy demokrację, zabiera miejsca pracy, niesie nienawiść. Czy można to zmienić?

© Wojciech Orliński

Gazeta Wyborcza, 15 października 2019

https://wyborcza.pl/ksiazki/7,154165,25286961,inny-internet-jest-mozliwy.html?_ga=2.15361278.978578601.1617107657-1471674183.1617107657

Twórca całego zamieszania - pomysłodawca Internetu Paul Baran - ostrzegał przed problemami. Już 12 listopada 1966 r. "New York Times" pisał na pierwszej stronie: "Inżynier obawia się, że technologia może prowadzić do zniewolenia". Dlaczego go nie posłuchano?

"Człowiek, który wynalazł Internet"

Gdyby świat był urządzony jak Internet, strach byłoby wyjść z domu. Wchodząc do restauracji, nie mielibyśmy żadnej gwarancji, że nie zostaniemy otruci, a przy wejściu musielibyśmy podpisać zgodę, że gdyby do tego doszło, nie tylko zwalnimy lokal z wszelkiej odpowiedzialności, ale jeszcze zapłacimy za sprzątnięcie zwłok i usunięcie ewentualnych śladów po agonii.

Kolejarze zapewniłiby nas, że pociągi jeżdżą „zgodnie z najlepszymi przemysłowymi standardami bezpieczeństwa”. Nikt jednak tych standardów nie mógłby weryfikować, a co chwila miałyby miejsce jakaś katastrofa, przy której wychodziłoby na jaw, że zabezpieczeń nie używano żadnych.

Po kolejnej spektakularnej katastrofie budowlanej szef odpowiedzialnej za to firmy zapewniłby na przesłuchaniu w parlamencie i przed kamerami, że nie ma sobie nic do zarzucenia, bo wszystko było zgodne z przepisami. I co zabawne, miałby rację, więc uniknąłby jakiegokolwiek kary.

Oczywiście, pasażerowie musieliby przy zakupie biletu „zgodzić się” na zwolnienie przewoźnika z wszelkiej odpowiedzialności. Tej samej zgody wymagałby lekarz, pilot, dentysta, weterynarz...

Obrońcy tego systemu mówiliby, że wszystko jest w porządku, bo decyduje wolny rynek. Jeśli dany chirurg cię zabije, po prostu nie będziesz więcej korzystał z jego usług. A podpisanie „zgody” nie jest przecież przymusowe. Można w ogóle nie wychodzić z domu!

Będzie tylko jeden mały feler. Wszystkie usługi będą nam świadczyły trzy-cztery korporacje. Nie będą z sobą konkurować – jedna będzie miała monopol na wszelkie formy transportu, druga na dowolny rodzaj handlu itd.

A pozostawanie w domu będzie opcją o tyle mało atrakcyjną, że przecież takiej samej zgody zażądają deweloperzy, strażacy, kominiarz, dozorca. Również, rzecz jasna, niby wolnorynkowi, ale jednak zmonopolizowani. Strach będzie wyjść – ale i zostać.

GAFA trzyma nas za twarz

Tak właśnie wygląda dziś sytuacja szarego człowieka w Internecie. Co chwila wymuszana jest od niego zgoda na coś, na co tak naprawdę nie można się nie zgodzić, bo wielu usług nie da się już zrealizować poza siecią.

Coraz trudniej jest w dzisiejszym społeczeństwie funkcjonować bez telefonu komórkowego, bez konta w banku, bez adresu e-mail. Pozostawanie poza tym systemem to teraz przywilej ludzi potężnych i wpływowych jak polityk, za którego ktoś inny robi zakupy. Reszta z nas bez tego po prostu nie dostanie pracy (zasiłku też nie).

W Internecie wszechpotężną i niekontrolowaną władzę cieszy się kartel GAFA, czyli cztery amerykańskie korporacje: Google, Apple, Facebook i Amazon. Towarzyszą mu trochę mniejsze mikromonopoliki, jak Twitter, Microsoft czy Spotify, których przyszłość jest niepewna (zapewne skończą połącznięte lub wyeliminowane przez któregoś z największych graczy).

Nie da się używać Internetu z pominięciem GAFA. Od biedy da się uniknąć jednej z tych literek, ale tylko kosztem zwiększonej zależności od pozostałych.

Dajmy na to, teoretycznie, możemy uniknąć zależności od Apple'a. Ale to oznacza zwiększoną zależność od Google'a, bo praktycznie wszystkie telefony komórkowe na rynku mają system albo jednej, albo drugiej firmy (nieliczne wyjątki to telefony dla hobbystów albo tzw. telefony dla seniora z okrojona funkcjonalnością).

Unikanie Amazona i Facebooka jest trudniejsze, niżby się wydawało na pierwszy rzut oka. AWS, czyli Amazon Web Services, ma udział bliski monopolu w usługach hostingowych. Gdy używasz zupełnie innego serwisu usługi (np. Netfliksa), robisz to za pośrednictwem Amazona. Gdy AWS ma problem (np. awarię serwerów na jednym kontynencie), dla tamtejszych użytkowników wygląda to jak awaria całego Internetu.

Do Facebooka z kolei należy wiele popularnych serwisów, takich jak Instagram czy WhatsApp. A bez tego ostatniego nie można dziś zrobić kariery nawet w polskim sądownictwie.

Ale jeśli komuś nie zależy na przyjęciu do grupy sędziów powiązanej z Ministerstwem Sprawiedliwości, to trudno się jednak wypiąć na powszechne usługi Marka Zuckerberga.

Jak się wpakowaliśmy w tę sytuację?

W połowie lat 90. ludzkość oszalała na punkcie do Internetu. Większość nie miała wtedy dostępu – do 1995 r. była to sieć czysto akademicka, ale tym gorętsze były fantazje o nadchodzącym nowym wspaniałym świecie cyberkultury, w którym wszelka cenzura jest technicznie niemożliwa, każdy maluczki będzie mieć głos równy najpotężniejszemu, a nieograniczony dostęp do skarbów nauki i kultury zmieni nas w miliardy Leonardów.

Sceptyków było niewielu. W Polsce obawy wyrażał publicznie tylko Stanisław Lem, którego zakrzykiwali wtedy optymiści przekonani, że Internet przez samą swoją architekturę

eliminować będzie wszelkie zło metodą samoregulacji. W tłumie naiwnych optymistów byłem wtedy także ja, polemizujący z Lemem (za co będę przepraszać po kres swoich dni).

W tej atmosferze ramy prawne, jakie nadano internetowi, były zorientowane nie na ochronę praw zwykłych obywateli (po co? Internet da im coś sto razy lepszego od wszystkich kodeksów i konstytucji!), tylko na ochronę interesów przedsiębiorców internetowych. Widzieliśmy w nich wtedy sympatycznych studentów w bluzach z kapturami, którzy bezinteresownie tworzą dla nas darmowe narzędzia.

Jeśli się czegoś baliśmy, to tego, że ci starsi przedsiębiorcy, ci w garniturach i z wielkich korporacji dawnego typu, nie pozwolą młodym konkurentom rozwinąć skrzydeł. Internet miał nas przecież wyzwolić od dominacji podmiotów takich jak Microsoft, IBM czy konglomeraty medialne. Muzyków miał wyzwolić od tyranii wytwórni płytowych, pisarzy – z opresji wydawców. W ogóle pośrednicy tacy jak Empik mieli się stać zbędni, skoro będzie można czytać gazety i publikować własną twórczość w Internecie.

W efekcie przyjęte na całym świecie ramy prawne, które w Polsce nazywamy ustawą o świadczeniu usług drogą elektroniczną, przewidują rozliczne przywileje dla przedsiębiorców za same tylko działanie w Internecie. Ta nazwa nie ma sensu, bo dziś prawie wszystkie usługi są świadczone drogą elektroniczną, ale jeszcze 20 lat temu ten sektor rzeczywiście był w powijakach.

Dziś Google, Apple, Amazon i Facebook korzystają z tych samych przywilejów, które 20 lat temu przyznawano garażowym start-upom. A obecna potęga tych firm sprawia, że nieprędko – jeśli w ogóle – doczekamy się polityków, którzy odważą się im przeciwstawić.

Poprzedni polski rząd padał przed tymi firmami na kolana, ilekroć zapowiadały stworzenie kolejnego obozu pracy. Przepraszam, stworzenie miejsc pracy.

Obecny rząd zerwał z tą polityką. Już nie klęczy, leży plackiem. Gdy Unia próbuje poddać cyberkorpy jakimkolwiek regulacjom, polski rząd krzyczy: „Brońmy wolności!”. Gdy Zachód mówi o cyfrowym podatku, Polska taki podatek oficjalnie odrzuca. Przecież Jeff Bezos ma ciągle jeszcze za mało pieniędzy!

Kto mógł to przewidzieć?

To pytanie często pada w tym kontekście. W intencji pytającego jest ono czysto retoryczne – faktycznie, prawie wszyscy ludzie piszący o Internecie 20-30 lat temu zupełnie się pomylili w swoich diagnozach i prognozach. W tym oczywiście piszący te słowa.

A jednak ktoś to przewidział – i to zdumiewająco wcześniej. Przewidział to twórca całego zamieszania – Paul Baran.

To urodzony w Polsce amerykański inżynier, który w pierwszej połowie lat 60. sformułował techniczne podstawy tego, co znacznie później zaczęto nazywać Internetem.

Baran opisał je w serii publikacji z lat 1960-64. To był falstart, pierwsze podejście do tworzenia takiej sieci ugrzęzło w biurokratycznej inercji, ostatecznie uruchomiono ją dopiero

50 lat temu, 29 października 1969 roku. To wszystko opisuję w swojej biografii Paula Barana – „Człowiek, który wynalazł Internet”.

Podczas prac nad tą książką odkryłem, ku swojemu zaskoczeniu, że już mogę odpowiedzieć na to retoryczne pytanie. Otóż przewidział to sam twórca tej koncepcji, i to już w roku 1965, gdy zaczął publikować teksty na temat zagrożeń dla prywatności, demokracji i spójności społecznej, jakie przyniosą w przyszłości „interconnected computer networks” („wzajemnie powiązane sieci komputerowe”), i o tym mówić.

To nawet nie jest tak, że nikt go wtedy nie słuchał. W listopadzie 1965 roku Paul Baran wygłosił na ten temat sensacyjny wykład na konferencji informatyków w Las Vegas.

O tym wykładzie pisała prasa. Zapraszano go, by wygłaszał go na kolejnych konferencjach w całych USA. W 1966 roku zeznawał nawet w Kongresie, a o jego ostrzeżeniach „New York Times” pisał na pierwszej stronie (12 listopada 1966 roku) pod nagłówkiem: „Inżynier obawia się, że technologia może prowadzić do zniewolenia”.

Zanim opiszę te ostrzeżenia bardziej szczegółowo, podzielę się hipotezą, której nie mogę w żaden sposób udowodnić, dlatego nie poruszam jej w książce. Otóż przypuszczam, że to ten artykuł był źródłem cyberpesymizmu Stanisława Lema. Lem namiętnie czytał wtedy międzynarodowe wydanie „New York Timesa”, które wychodziło wówczas pod zlikwidowaną kilka lat temu marką „International Herald Tribune”.

Ostrzeżenia Lema co do meritum przypominały ostrzeżenia Paula Barana wyrażone 30 lat wcześniej. Polski pisarz nie prowadził dzienniczka lektur, więc przeważnie nie wiadomo, skąd czerpał konkretne inspiracje. Skądinąd jednak wiem na pewno, że w 1966 r. czytał „Heralda” regularnie, a nagłówek o „technologii prowadzącej do zniewolenia” musiał przykuć jego uwagę.

Proste maszyny do zautomatyzowanego szantażu

Jak tę drogę do zniewolenia widział Paul Baran, twórca tej technologii? Przede wszystkim od razu rozumiał różnicę jakościową, którą spowoduje skomputeryzowanie wszystkich baz danych dotyczących naszego życia codziennego – rachunków bankowych, ksiąg meldunkowych, danych medycznych, ewidencji pojazdów i kierowców.

Do dziś pada czasem taki argument, że co to za problem, że czyjś adres można wygooglować – skoro kiedyś można go było znaleźć w biurze meldunkowym. Jak pamiętamy ze starych kryminałów, prywatny detektyw, który pochodzi po mieście i popyta, w końcu i tak zidentyfikuje wszystkich „przyjaciół pana Cairo”.

Jest jednak ogromna różnica, czy te dane możemy pozyskać w kilka minut, przeglądając komputerowe rejestry, czy też płacimy przez kilka tygodni „stawkę dzienną plus wydatki”. W tym pierwszym wypadku możemy wykryć czyjeś kompromitujące powiązania bez większego wysiłku, po prostu rutynowo polując na łatwe ofiary – w tym drugim tkwi pewna naturalna zaporą.

Baran ostrzegał przed nadejściem „prostych maszyn do zautomatyzowanego szantażu”. Jak to wygląda, mogliśmy się przekonać w ciągu ostatnich paru lat, gdy na Twitterze anonimowi

użytkownicy niszczą na podstawie nielegalnie pozyskanych danych życie ludziom, którzy w czymkolwiek podpadną władzy.

Baran ostrzegał też, że to może być koniec demokracji, jaką znamy. Użył banalnego porównania: wyobraźmy sobie, że nagle na wszystkich ulicach zawisną plakaty jednego jedynego kandydata. Nie muszą wiele zawierać, tylko nazwisko i zdjęcie. Czy mielibyśmy wtedy uczciwe wybory?

A przecież tak to na razie wygląda. Owszem, kampania na ulicach i w tradycyjnych mediach podlega prawnym regulacjom, ale ma coraz mniejsze znaczenie, a coraz większe mają Twitter, Google i Facebook.

Tam monopoliści nie podlegają żadnym regułom – z wyjątkiem tych, które sami sobie arbitralnie, nieprzejrzysto i jednostronnie wymyślają. Przy okazji śledztwa związanego z aferą Cambridge Analytica wyszło zresztą na jaw, że w Dolinie Krzemowej obowiązuje tylko jedna reguła. Złota reguła. Kto ma złoto, ten wyznacza reguły.

Baran sufluje rozwiązania

Paul Baran w swoich wykładach i publikacjach z lat 60. nie ograniczał się tylko do straszenia. Proponował konkretne środki zaradcze.

Jego propozycje nie straciły na aktualności. Technicznie rzecz biorąc, można by je wprowadzić choćby jutro, choć jednak – jak argumentował po inżyniersku – najlepiej byłoby od razu to wszystko zaprojektować z myślą o ochronie praw obywatelskich, bo poprawianie złego systemu jest droższe i mniej skuteczne.

Jedną z jego propozycji było wprowadzenie rutynowego szyfrowania wszystkich połączeń sieciowych. Ta propozycja stopniowo jest już wcielana w życie w najnowszych protokołach, ale można (i trzeba) było to zrobić od samego początku.

Wtedy Edward Snowden nie miałby czego ujawniać, bo rutynowe podsłuchiwanie całego świata byłoby niemożliwe albo zaporowo kosztowne. Służby specjalne, tak jak w czasach analogowych, musiałyby zakładać podsłuch tylko konkretnym osobom, które są o coś podejrzane, a nie zapisywać w archiwach kopię maila, którym przesłałem ten tekst do redakcji (a robią to teraz).

Baran proponował też wprowadzenie prawnego wymogu, żeby wszystkie bazy danych osobowych były szyfrowane. Wydawałoby się, że taki wymóg nie jest potrzebny, bo administratorzy nie są idiotami, a jednak... Głośne i liczne wycieki baz klientów różnych przedsiębiorstw pokazują, że taki przepis bardzo by się przydał.

Wśród postulatów było też regularne i wyrywkowe audytowanie kodu źródłowego systemów operacyjnych, by sprawdzać, czy nie ma tam jakichś „tylnych wejść”. To znów częściowo się dzieje, bo coraz popularniejsze są systemy z publicznie dostępnym kodem źródłowym, ale Apple czy Microsoft nadal zazdrośnie strzegą swoich tajemnic.

Baran był przekonany o potrzebie powołania służby państwowej z uprawnieniami kontrolnymi, która będzie sprawdzać, jak chronione są dane osobowe. Tego niestety na razie

nie ma. W krajach Unii Europejskiej istnieją inspektorzy danych osobowych, ale ich uprawnienia kontrolne są niewielkie. Nie ma czegoś takiego w USA, gdzie byłoby to najbardziej potrzebne, więc w praktyce kartel GAFA działa poza kontrolą.

Paul Baran uważał, że wypracowania tych regulacji nie można oczekiwać po politykach i prawnikach. Potrzebne jest do tego działanie inżynierów, którzy rozumieją tę technologię.

Ubolewał nad niskim poziomem refleksji społecznej w swojej branży. Inżynierowie w XX wieku rzadko zadawali sobie pytania o społeczne konsekwencje swoich wynalazków – mówili (i nadal mówią), że to nie ich sprawa.

W 1971 roku na konferencji naukowo-technicznej w Filadelfii Paul Baran wypowiedział bardzo mądre słowa: „Gdy słucham o planach rewolucyjnych zmian, odczuwam dyskomfort. A gdy komentarze sugerują, że proponenci nie przemyśleli skutków ubocznych swoich propozycji, odczuwam niepokój. A gdy obserwuję beztroskie lekceważenie skutków ubocznych jako nieistotnych wobec wspaniałości nadchodzącej utopii, robię się nieufny. Jestem nieufny właśnie teraz. (...) Nie chodzi tylko o to, żeby w przyszłości powiększyć rozmiar tortu do podziału. Zaczynamy także rozumieć znaczenie tego, żeby niczyjej porcji, która już jest dość cienka, nie zrobić jeszcze cieńszą”.

Jego nieufność była uzasadniona. Hasło „To przynosi wzrost gospodarczy” od kilkudziesięciu lat używane jest do usprawiedliwiania wszelkiego zła.

Internet niszczy demokrację, zabiera ludziom miejsca pracy, przynosi nienawiść i wykluczenie – ale to wszystko jest OK, bo dzięki temu słupki rosną. Że rosną dla całej gospodarki, ale już niekoniecznie dla konkretnego Jana Kowalskiego, o tym się do niedawna w ogóle nie mówiło.

To się zaczyna zmieniać. O potrzebie poddania kartelu GAFA kontroli mówi się coraz częściej w Europie – polskie władze również i pod tym względem popadają w izolację. Mówią też o tym coraz częściej politycy amerykańscy – jeśli Elizabeth Warren uzyska nominację Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich, to będzie to jeden z głównych tematów kampanii.

I tylko szkoda, że nie pomyślano o tym już 50 lat temu, gdy po raz pierwszy uruchomiono sieć zaprojektowaną przez Barana.

Książka dostępna jest w formie e-booka w [Publio.pl](https://publio.pl) >>